

**ELŻBIETA
SIERADZIŃSKA**

WANDA RUTKIEWICZ

JESZCZE TYLKO JEDEN SZCZYT

Idąc w górę, nie zakładam, że z nich nie wrócę, nie wierzę we własną śmierć w górach. Ale przecież nie uniknę przeznaczenia, niezależnie od tego gdzie będę.

MARGINESY



ELŻBIETA
SIERADZIŃSKA **WANDA**
RUTKIEWICZ

JESZCZE TYLKO JEDEN SZCZYT

MARGINESY

Dla niektórych ludzi te parę sekund, które przeżyją gdzieś
tam w górach, [jest] ważniejsze niż cokolwiek innego w życiu,
i temu życiu te parę sekund przeżyte tam – nada sens.

WANDA RUTKIEWICZ



Wanda Rutkiewicz przed chatą Téryho
w Dolinie Pięciu Stawów Spiskich w Tatrach, 1972.

WSTĘP

Dźwięki argentyńskiego tanga mogą mylić, ale nie obraz na ekranie. Sekwencje w tonacji sepii, ujęcia mężczyzn w kapeluszach z szerokim rondem i pumpach, wdrapujących się gęsiego po skałach z czekaniem wziętym jakby wprost z muzeum górskiego w Chamonix czy Zermatt, ustępują kolorowemu widokowi szerokiej wstęgi gór nałożonej na jasnoniebieskie niebo. Tango płynnie przechodzi w ostrzejszą, nieco szarpiącą uszy muzykę. Pochylona sylwetka w ciemnoniebieskim kombinezonie posuwa się wolno, krok za krokiem, jakby wbrew porywającemu rytmowi rozbrzmiewającemu w tle. W górę, wciąż w górę. Jeden krok, drugi, trzeci, głęboki oddech, opuszczona nisko głowa. Ręce ciężko oparte na czekaniu. Podeszwy ciemnoniebieskich koflachów szczerzą do kamery czarne, trzymające je w ciasnym uścisku zębiska raków. Oddech. Jeden, drugi. Głęboki, wyszarpujący resztki powietrza z ciężko pracujących jak dziurawe miechy płuc. Prawa noga, lewa, powoli. Ręka zsuwa na tył głowy białą wełnianą czapkę z andyjskim wzorkiem. I jeszcze raz to samo, tylko w odwrotnej kolejności: najpierw lewa, potem prawa. Następny krok, i następny.

14 maja 1995 roku. Przedpołudnie. Strużki deszczu niezmordowanie spływają na chodnik po drzwiach wejściowych siedziby Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie*. W czwartym rzędzie niewielkiej salki projekcyjnej siedzi Matka.

Siedzi nieruchomo, w skupieniu wpatruje się w ekran. Zna ten film na pamięć. Doskonale wie, że za chwilę jej córka zdobędzie Aconcaguę,

* Przy ulicy Wawelskiej 5. Obecnie Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie mieści się w nowoczesnym Centrum Olimpijskim (Wybrzeże Gdyni 4).

najwyższy szczyt obu Ameryk. Patrzy bez cienia niepokoju czy żalu w oczach. Dla niej, dla Matki, nic się nie skończyło 13 maja 1992 roku trzysta metrów od szczytu trzeciego wierzchołka Ziemi – Kanczendzongi. Dla niej czas się zatrzymał, a jej córka wciąż kroczy ku szczytom w swej karawanie do marzeń...

I

EKSPLOZJA

Nikt prawie nie wie, dokąd go zaprowadzi droga, póki nie stanie u celu.

J.R.R. TOLKIEN, *DWIE WIEŻE*

Błysk lamp i klikot naciskanych migawek zlewają się w jeden nieprzerwany ciąg świateł i dźwięków. Hala przylotów lotniska Okęcie z trudem mieści wszystkich chętnych. Kwiaty, ręce gotowe podsunąć zdjęcia i długopisy do autografów, notesy, obiektywy, szyje wyciągnięte niecierpliwie w stronę wyjścia dla pasażerów. Czeka zaimprovizowane w holu studio telewizyjne S2, czeka radio. Wreszcie jest. W wełnianym kolorowym pasiastym golfie, nepalskiej kurtce z kapturem, z bukietem jesiennych kwiatów i w kaloszach – jej bagaż jeszcze nie dotarł do Warszawy. Szeroko uśmiechnięta brunetka. Aż trudno uwierzyć tym, którzy zęby zjedli na tatrzańskich turniach czy alpejskich iglicach, wypływali płuca na pierwszych wyprawach w Hindukusz, Pamir czy wreszcie Himalaje, i tym, którzy czekana w rękę nigdy nie mieli, ale u których ta informacja rozbudziła wyobraźnię i wywołała niecodzienny dreszcz emocji, narodową dumę. Pierwszy Polak na Evereście, najwyższej górze świata! Kiedyś to się musiało wydarzyć. Pierwszy Polak, a dokładniej Polka! A jeszcze dokładniej pierwsza Europejka, trzecia kobieta na świecie i osiemdziesiąta druga osoba na liście wszystkich wejść.

Co w tamtej chwili, jeśli był wówczas przed telewizorem czy przy radiu, pomyślał Bogdan Jankowski, taternik, instruktor alpinizmu, pracownik naukowy Politechniki Wrocławskiej? Czy zacisnął usta w półuśmiechu, pokręcił głową i stwierdził: coś takiego, a jednak! „Oj, nie pamiętam – broni się przed pytaniami – gdzie i kiedy dostałem tę wiadomość. Ale pamiętam, że ucieszyłem się, pomyślałem: dzielna Wanda!”¹. Czy w tej roześmianej brunetce otoczonej tłumem dziennikarzy zobaczył tamtą dziewczynę stojącą na drodze przy junaku? Rzadko widywało się panny na motorze, więc czy można było się nie zatrzymać?



Wanda w Tatrach.

Jeszcze takie ładne panny? Że co? Aaa, benzyny zabrakło, no tak. Wsiadaj, podrzucimy.

Był rok 1961.

To było coś kompletnie nowego. Ekscytującego. Nieprzewidywalnego. I jeszcze ten strach. Adrenalina nieporównywalna do oczekiwania na wyjście na boisko. Drużyna to drużyna, parkiet to parkiet, a tu... Skała, jej dotyk i zapach, i palce szukające oparcia, występu, chwytu. Łomot krwi w uszach. Strach. „Eksploracja!”². Tak opisuje tę chwilę Billowi Birkettowi.

Poczuła, że wspinaczka to jest właśnie „to”! I jaka była ta pierwsza wspinaczka? – pyta Bill. – Łatwa? „Raczej tak” – odpowiada. „Nie było to ani ładne, ani w dobrym stylu, ale byłam po raz pierwszy w Skałkach. Miały około stu metrów wysokości i były granitowe. Moi przyjaciele wspinali się ze mną, ale tylko trochę, ponieważ byłam początkująca, a oni chcieli się wspinać sami. Ale ja byłam podekscytowana, był tam taki komin, więc zaczęłam się wspinać. Wspinałam się i wspinałam. Moi koledzy porządnie się wystraszyli, ponieważ byłam sama”³.

Pewnie, że się wystraszyli. Chyba pożyczyła im notatki. W ramach rewanżu zaproponowali jej wypad w Skałki, ot tak, nic zobowiązującego, poza tym fajnie było gdzieś pojechać z taką atrakcyjną dziewczyną. Coś tam można było jej pokazać, ale żeby od razu miała się wspinać? Bez przesady.

Na uczelni Wanda ma swoją paczkę; trzyma się między innymi z Bogdanem Jankowskim i Januszem Fereńskim. Interesuje się telegrafią, więc zagląda od czasu do czasu do akademika politechniki, choć niektórzy mówią, że powód tych wizyt jest zgoła inny. Jankowski jest zafascynowany górami, więc po powrocie z praktyki w Związku Radzieckim Wanda wybiera się z nim pod Zieloną Górę, w Sokole Góry.

W Sokolikach są Sukiennice, charakterystyczna skałka ze szczeliną, głębokim pęknięciem. Z jednej strony utworzył się więc szeroki komin.

Ta Wanda to jeszcze „srula”. Atrakcyjna, fakt, ale jeszcze srula. Niech więc sobie siądzie o tu, na pieńku pod tą ścianą, i poczeka, aż panowie ścianę złożą i pojawią się na górze. Dziewczyna siada, a jakże. Jankowski i Wachowicz idą w górę. Od drugiej strony. I łoją.

Nagle w trudnym miejscu słychać jakieś sapanie. „Słuchaj John – to Jankowski – zdaje mi się, że Wanda się wspina”. „A coś ty, głupi?” – to John. Widok z góry nie pozostawia wątpliwości: Wanda tkwi w kominie dwadzieścia metrów nad ziemią, solo, bez liny, bez asekuracji, wystraszona, ledwo się trzyma. „Tylko nic nie mów – to do Johna – bo jeszcze zleci”⁴. Złaż! No złaż! Albo nie, lepiej poczekaj, jakoś cię stamtąd ściągniemy. Pewnie lecą jakieś dosadne męskie określenia, choć w relacjach zostaną tylko te cenzuralne. Jankowski robi pętlę, rzuca ją „sruli”, która wprawdzie raczy spojrzeć na ewentualnych wybawców, ale wyraźnie zmobilizowana, jeszcze szybciej rusza w górę. Lina? A gdzie tam! Odrzuciła. No i gdzie ona lezie? Polazła.

„Wtedy, za pierwszym razem, weszłam od razu na samą górę” – notuje jej słowa Bill. „Bardzo mi się to spodobało. [...] Od tamtego czasu nigdy nie zdobyłam się na przejście tej drogi bez liny czy partnera”⁵.

„Z tej pierwszej eskapady w góry – wspomina Maria Błaszkiwicz – Wanda wróciła cała osmalona, podrapana, pokrwawiona, ale absolutnie zachwycona. «Ach, mama, jaka to wspaniała rzecz!». Zbyttno się tym nie przejęłam, próbowała przecież tylu rzeczy. No i się zaczęło”⁶.

Lepiej? Wyżej? Szybciej? Temu Wanda hołduje od zawsze, choć nikt w domu do tego jej nie zachęcał, wręcz przeciwnie. Ojciec wyrabiał w swych dzieciach ducha czystego samodoskonalenia się, sportowego, fizycznego, otwarcia na świat przyrody, umiejętności zdrowego odpoczynku, ale nie rywalizacji. Zabiera Wandę i jej rodzeństwo na pierwsze wypadu w góry. „W góry” to brzmi dumnie, bo cel tych wypraw, Sobótka, czyli Słęza na Przedgórzu Sudeckim, ma zaledwie 718 metrów, ale Wanda uczy się od ojca przygotowania do wyjścia w góry, myślenia o zaopatrzeniu, umiejętności rozpalania ogniska, pakowania plecaka, rozsądku i odpowiedzialności za podejmowane tam decyzje.

„Dlaczego zaczęła się wspinać?” – matka Wandy nie ma wątpliwości. „Chyba wytworzyła się wokół niej taka atmosfera. Kiedy poszła na studia, była już bardzo samodzielna pod wieloma względami. Bardzo uzdolniona i wszechstronna, i w tym przypominała mi moją matkę, potrafiła też robić wiele rzeczy, których nikt jej nie uczył. W szkole podstawowej parę lat uczyła się muzyki, ale chyba nie bardzo jej to wychodziło, bo w szkole średniej już do tego nie wróciła. Mimo to miała również, chyba niezbyt udany, «głównie dla dzieci» – śmieje się pani Maria – okres udzielania lekcji rytmiki w przedszkolu. Brała się do wszystkiego, gdzie mogła się czymś wykazać: pokazy gimnastyczne, olimpiady przedmiotowe, a w ostatniej klasie liceum kółko recytatorskie. Kiedyś byłam nawet na jakiejś większej próbie do klasowego, popołudniowego przedstawienia. Wanda grała w nim Balladynę. Recytowała też jakieś wierszyki na szkolnych imprezach. Dużo czytała, owszem, ale nie tak zachłannie jak ja. Wybrała sobie także dodatkowy przedmiot, łacinę, musiałam więc trochę ją poduczyć; zresztą rosyjskiego – jak wszystkie moje dzieci – także”.

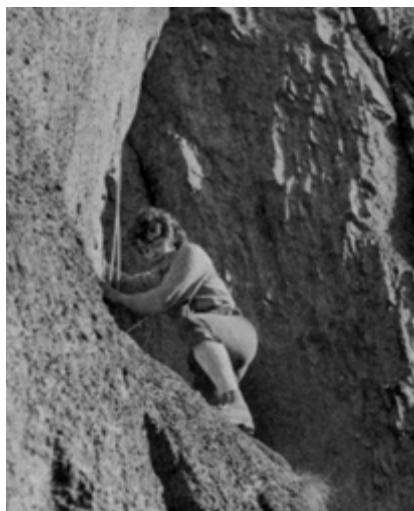
„Ale tak naprawdę w szkole ubóstwiała harcerstwo” – mówi z dumą pani Maria. „Tacy ludzie jak Łukaszewiczowie czy Wańkowiczówna mieli na nią wielki wpływ. To kształtowało ją w dużym stopniu w rozwijaniu wielu dodatnich cech, koleżeństwa, pracowitości, odpowiedzialności. A kiedy Wanda poszła na studia, snułyśmy wspólnie wielkie plany na przyszłość”.

Lubiła ruch i go potrzebowała. W sporcie próbowała prawie wszystkiego: grała w siatkówkę, rzucała oszczepem, pchała kulę, biegała, skakała w dal. W tym czasie robiła też prawo jazdy na motocykl. „Szalała po całym mieście na junaku” – przyznaje matka. „Wtedy nie było jesz-

cze takiego ruchu. No i ciągle gubiła dokumenty. Później to już nawet mandatów jej nie wlepiali. No cóż, była młodą, ładną dziewczyną. Miała niespożytą energię i siłę”. Patrzy na stojące nad tapczanem puchary. „Ciągle potrzebowała czegoś takiego, co by ją stymulowało, dawało szansę robienia czegoś innego, niecodziennego. Motocykle, maszyny cyfrowe czy żagle. O tak, na wodzie też dokazywała, chociaż ona i jej koleżanki nie miały właściwie nic, by uprawiać sporty wodne. Zwykle gdzieś w pobliżu były jakieś obozy wodniackie. Wanda dobierała sobie najczęściej jakąś towarzyszkę i obie wypływały na środek jeziora. Tam udawała, że toną, więc oczywiście koledzy płynęli im na ratunek. Znajomość była już nawiązana i potem było łatwiej. Zaczęła też na poważnie grać w siatkówkę”.

Matka, wierny kibic, chodziła na wszystkie mecze córki i cierpliwie wysiadywała na trybunach. Ninę odprowadzała na basen, a z Wandą chodziła na mecze. Dlaczego akurat siatkówka? W tamtych czasach grano głównie w siatkę, a nie w ręczną czy koszykówkę. Rutkiewicz, a właściwie Błaszczewicz, gra najpierw w AZS-ie, a potem w Gwardii Wrocław. Wyróżnia się. Trafia do kadry Polski juniorek i młodzieżowej szerokiej kadry olimpijskiej przed olimpiadą w Tokio w 1964 roku. Potem zmieniają się przepisy. Przy bloku i ataku potrzebne są zawodniczki wyższe, i wprawdzie pod siatką Wanda nadrabia inteligencją i sprytem, ale przy stu sześćdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu na wyczynowe uprawianie tego sportu nie ma szans. Z piłką siatkową rozstaje się jednak dopiero trzy lata po pierwszym wyjeździe w góry. Ostatni raz w barwach AZS-u pojawia się na uniwersjadzie w Budapeszcie w 1965 roku. Potem gra jeszcze jeden sezon w Gwardii i staje przed dylematem: siatkówka czy góry? Wybór wydaje się oczywisty: przecież odkryła coś, z czym trudno rywalizować.

W Skałki wraca w następny weekend. I w następny też. Najpierw trzy godziny telepania się pociągami. Potem jakaś godzinka piechotą; do Skałek dociera się właściwie o zmroku, więc trzeba biwakować. W ciągu dnia krok po kroku, metr po metrze Wanda przyswaja sobie tajniki wspinaczki, ściera palce do krwi, wiąże linę pod pachami, uczy się zjazdów i zasad asekuracji. Wieczorami, na biwakach, odkrywa wyciskający lzy z oczu dym z ogniska, zapach wilgotnych liści, jednostajne bębnienie deszczu o brezent płachty czy namiotu. Chłonie opowieści kolegów z uczelni i partnerów. A następnego dnia, choć czasem i w nocy, znowu lina i ka-



Nauka wspinaczki bywała także niebezpieczna.

rabińczyki. Stopnie, chwytty, węzły, drabinki. Któregoś razu biwakuje sama. Oswaja się z lękiem. Nasłuchuje szelestu liści, wiatru świszczącego w gałęziach. A raniem znowu pociąg i powrót do Wrocławia.

Na początku Skałki nie były tylko terenem wspinaczkowego treningu, raczej miejscem spotkań, wspólnego przeżywania, dyskusji. Owszem, mieli parę dróg do zrobienia, ale równie ważne były rozmowy, pogadywanie, robienie zdjęć, wspólne gotowanie i biwak w kolebie pod wielkim głazem. Trzeba było zajrzeć tu i tam, choćby do starej jamy, by sprawdzić, czy ciągle mieszka tam lis. Wandzie ten ludzki mikroklimat na łonie przyrody przypominał dawne dobre harcerskie czasy, kiedy jako nieco pulchna nastolatka stawiała namioty, kopała dół na latrynę, rozpałała ognisko i gotowała nad nim posiłek. Skałki to był raczej ceremoniał niż trening.

Ale to także powoli się zmieniało. Zamiast trzech czy czterech dróg zaczęto robić killkanaście, tę samą drogę przechodziło się parokrotnie, za każdym razem szybciej czy w lepszym stylu.

Ryzyko? Nie liczyło się. Nie myślała o tym. Początkowo nawet przekonywała mamę, że nie jest to sport niebezpieczny. Nie zmienił tego nawet wypadek, odpadnięcie. Hak wyrwany ze ściany, osiemnaście metrów lotu w dół i dwa tygodnie szpitala. Zresztą z początku o śmierci w górach właściwie nie wiedziała nic: słyszała jedynie o wypadku dwóch znanych profesorów w Tatrach, na Mięguszwieckich Szczytach. Jeszcze w Skałkach, „obserwując ich sprawność we wspinaniu, zaczęłam zdawać sobie



Od lewej: Małgorzata Kiełkowska, Danuta Gellner (Wach), Wanda Błaszkwicz (Rutkiewicz), Tadeusz Piotrowski i Krzysztof Gąsiecki, kwiecień 1969.

sprawę z własnej nieporadności. Patrząc na mknących ku górze kolegów, postanowiłam im dorównać. Zrodziła się chęć rywalizacji. Ale nie tylko to. Zrozumiałam, że wspinaczka, pozwalając cierpieć, daje także afirmację własnych dążeń, pokrzepienie, kontakt z przyrodą, otwiera nieznany dotąd zakres doznań estetycznych”⁷.

Jej pokolenie to późniejszy prawnik Roman Bebak, sędzia Janusz Fereński, matematyk Kazimierz Głazek, geodeta Jan Franczuk, student Politechniki Wrocławskiej Wojciech Biederman.

Ryzyko, odpadnięcie, wypadek, nawet śmierć. Na kursach w Tatrach będą jej pokazywać zdjęcia tych, dla których wspinaczkowa droga okazała się ostatnią. Popatrz, to nie zabawa, tu można zginąć. To jej nie zniechęca, nie blokuje. Wręcz przeciwnie. Wyzwała potrzebną jej adrenalinę, mobilizuje. Nie myśli o tym, co może się stać, zamiast tego stara się być lepiej przygotowana i ostrożniejsza. Zwłaszcza przy wbijaniu haków.

„Oczywiście podśmiewywali się z tego Wandzinego entuzjazmu, zapachu i tego nieprzepatrego pędu do gór” – mówi Maria Błasziewicz. „Ona po prostu rwała się do tego. Skrupulatnie przygotowywała się do każdego wyjazdu, studiowała wszystkie możliwe mapki, trasy, dróżki. Fizycznie była doskonale przygotowana. Dołożyła do tego miłość, zafascynowanie górami i ich pięknem. Jak wszyscy skrzętnie zbierała sprzęt, udzielała korepetycji, dorabiała jak mogła, by coś dokupić, skompletować.

Była to naprawdę zgrana paczka. Przyjaźniła się bardzo z Jasiem Francukiem. To był wspaniały chłopak, geodeta i wielki oryginał. Prawy, duszą i ciałem oddany przyrodzie i bardzo z nią związany. Gdy wyjeżdżaliśmy razem w Skałki, z początku zawsze trzymał się z nami, ale potem biegł po całym pociągu, uciekając przed konduktorem. Wyznawał bowiem zasadę, że pociągi powinny przysługiwać obywatelom za darmo. Dorabiał, malując kominy, myjąc szyby. Często przychodził do nas do domu, był zresztą jak domownik. Często razem wyjeżdżali w Tatry. Razem z nim przychodził też asystent Wandy z uczelni, brat Biedermana. A że Wandy często nie było w domu, siedziałam z nimi wieczorami i gawędziliśmy sobie.

Jasia i Wojtka długo nie mogłam zapomnieć. I drżałam o Wandę. Ona jednak potrafiła mnie przekonać, że jest bezpieczna, a ja wierzyłam w to, co opowiadała. Zresztą postanowiła pokazać mi, jak to jest w górach. Parokrotnie namawiała mnie na wspólny wyjazd w Skałki, ale jakoś jej się to nie udawało. Za każdym razem mówiła: «Mama, spróbuj!», aż wreszcie mnie namówiła. Za pierwszym razem szłam razem z nią, za drugim – z kimś innym. Sokolik jest najwyższy, a na szczycie jest takie żelazne obramowanie. No i weszłam! Widok był taki, że aż dech mi zaparło. W swoim życiu przeżyłam wiele pięknych chwil, ale ta przeszła moje wszelkie oczekiwania. Tego uczucia nigdy nie zapomnę. Potem odłączyliśmy się od reszty i zaczęliśmy schodzić. Doszliśmy do takich płyt i raptem, sama nie wiem kiedy, Wanda zeszła, nie czekając, a ja ruszyłam za nią. Kiedy się odwróciła, ja również przeszłam te płyty. Wanda była wyraźnie ucieszona: «Mama, ty masz wrodzony talent do wspinaczki!». A ja oparłam się plecami o skałę i schodziłam. Nie czułam strachu ani grozy sytuacji, zupełnie nic. Czułam dumę. Jakby coś mnie popychało naprzód, podpowiadało, jak to robić. Zrozumiałam, że mogą istnieć rzeczy niebezpieczne, a zarazem pociągające, i że można to robić. To właśnie daje człowiekowi poczucie satysfakcji, pełnię, wyzwala

przekonanie, że wszystko jest osiągalne, i utwierdza go w nim. W górach wiele podpowiada intuicja, w niektórych sytuacjach się nie myśli, tylko po prostu wie, wyczuwa, ma w sobie”.

Rzeczywiście, Wanda miała naturalne zdolności, ale także wytrzymałość, skoczność, wycucie równowagi, nabyte podczas uprawiania lekkiej atletyki i siatkówki – umiejętności, które nieraz jej się przydadzą. Ale w skale Sokolików, a potem w Tatrach odkryła, tak jak wielu przed nią, nie tylko oddech wolności, niezależności, ale również otwarte szerokie pole działania, na którym ujście mogły znaleźć jej ambicja, upór i ciągła potrzeba działania i doskonalenia się. Więcej. „Od pierwszego dnia wspinaczka jest dla mnie rzeczą naturalną – twierdzi – takim samym elementem życia codziennego jak jedzenie, picie, spanie czy praca”⁸.

„Tak się zaczęło” – konkluduje matka. „A potem szła już swoją drogą”.

Podeszli pod ścianę, żeby się powspinać. Zadarli głowy, patrzą: „Nie! No... dziewczyna! Ba, dziewczyna – wspomina himalaista Paweł Palus – ale to była, jak dzisiaj się to mówi, jakaś taka «laska»”⁹. Piękna dziewczyna, wspina się lekko, płynnie przechodzi tam, gdzie oni walczyli, jak mówi Palus, „jak dzicy”¹⁰. Przewieszona skała, a ona nic, płynnie do góry, no pajak po prostu. Kto to jest? – pytają Eugeniusza Chrobaka, wówczas znanego już alpinistę. Iii... – pozornie niedbale odpowiada Chrobak – to Wanda Błasziewicz! Ta niedbałość to pozory: wysportowana piękna studentka przyciąga wzrok kolegów. Poznaje wszystkich, którzy wkrótce będą się liczyć w polskim alpinizmie. Wojciech Dzik, taternik i alpinista, nie pamięta, czy była to Kazalnica czy inna ściana. Za to pamięta, że chłopaki się na niej zacięli, a Wanda poszła jak burza. Wojtka Kurtykę „zauroczyły [...] jej głęboko osadzone oczy i zachwycający uśmiech, ale trwało to tylko kilka tygodni. W głowie miał co innego. Myśl o granitowej skale pod palcami”¹¹. Zupełnie jak Wanda.

Pierwszy własny śpiwór i puchową kurtkę kupuje ze stypendium naukowego. Bagatela, parę tysięcy złotych, jak na tamte czasy – mała fortuna. Ale się opłaca. Jeździ już nie tylko w Sokoliki. Karkonosze, Sudety, Beskidy – Śląski, Żywiecki, Wyspowy. W Sokolikach bierze udział w ukłasyznieniu takich dróg, jak Parszywa Rynna i Prawy Biederman na Sukiennicach czy Komar na Sokolej Lalce. Jeździ coraz dalej i coraz częściej. Wspina się coraz wyżej, na coraz trudniejszych drogach.



Wanda Rutkiewicz w Tatrach
– wejście na Kasprowy Wierch.

Niektórzy twierdzą, że jakiegoś specjalnego talentu do wspinaczki nie miała, że była to tylko niespotykana siła woli. Jeden z życiowych i tatrzańskich partnerów Wandy z czasów, kiedy była już instruktorem we wspinaczkowej szkółce, twierdzi, że podczas wspólnej wspinaczki zdecydowanie nie błysnęła. A może zrobiła to z premedytacją? Może nie chciała dawać prztyczka w nos bliskiemu mężczyźnie? Piotr Pustelnik mówi coś dokładnie przeciwnego: miała doskonałą technikę.

Niemniej jednak czy to dzięki talentowi, czy uporowi, w latach 1962–1963 Błaszkievicz robi duże postępy. Do siły woli dorzuca kolejne doświadczenie: pierwszy stopień wtajemniczenia we wspinaczce zimowej. Wielokrotnie zagląda do Chatki pod Śmielcem, od 1968 roku jest w niej stałym gościem, „dwa, trzy razy w sezonie i trwa to ładnych kilka lat”¹². Karkonoskie polodowcowe Śnieżne Kotły znajdują się między Łabskim Szczytem i Wielkim Szyszakiem, ich górna krawędź sięga 1490 metrów, a dno leży na wysokości mniej więcej 1200 metrów. Tam Wanda nabywa doświadczenia, które równie dobrze można odnieść do Tatr zimą, jak i, *toutes proportions gardées* co do skali, do gór wysokich: głęboki śnieg, lód, długie podejścia, niskie temperatury, lawiny, lodospady, nawisy, eks-



Wspinaczka
na Krzywej Turni
w Sokolikach.

pozycja. Asekuracja z czekana, raki, lodowe igły i śruby, rąbanie stopni. Tatry czekają.

W 1962 roku przekracza próg Betlejemki, schroniska na Hali Gąsienicowej, gdzie działała „szkółka taternicka”. Instruktorzy jak zwykle myślą: kolejna panienka, która szybko się wystraszy. Ale ona była uparta. Taborisko, słynne taternickie obozowisko koło Morskiego Oka, było pełne jednodniowych wspinaczy. „Ci prawdziwi – wspomina Marian Sajnog – to jeszcze świtało, jak brali te swoje wory, potem wracali na ostatnich nogach, ale byli też tacy wspinacze, tacy herosi, co to wstawali o trzeciej rano, szykowali się, czyścili, pucowali, potem wychodzili, oj, będzie chyba burza, po czym szli na piwo; jutro to my zrobimy to albo tamto; myśm się tylko śmiali: tak, zrobimy kant... lewego półdupka!”¹³.

Wanda była inna. Od początku traktowała wspinaczkę śmiertelnie poważnie.

Jej instruktorami byli między innymi Zdzisław Jakubowski i Ryszard Berbek, brat Krzysztofa, a także Jerzy Hirszowski, Adam Uznański, Longin Świliński. Wanda wspomina o nich z szacunkiem i uznaniem. Żaden w górę na plecach jej nie targał. Towarzyszyli jej, byli, pozwalali

prorowadzić, wahać się, bać, wykazywać inicjatywę i się cofać. Praktyczny egzamin w „szkółce” Wanda zdaje bez trudu. Mimo to ocena z egzaminu – dobra. Dla niej to zaledwie dobra, niestety, potyka się na teoretycznym. Mimo dużego odczytania w literaturze kłaniają się braki w znajomości topografii Tatr. Ale Kartę Tatarnika w kieszeni ma, więc może już wyruszyć na podbój Tatr.

Początki może nie zawsze są błyskotliwe, za to pełne emocji.

Janusz Kurczab wpada na pomysł zrobienia nowej drogi na Koprowym Wierchu, tuż za granicą z Czechosłowacją. Zabierze Wandę? Skąd, nie ma takiego zamiaru. Planuje wyjście dwiema dwójkami, z Bogdanem Jankowskim, Kazkiem Głazkiem i Krzysztofem Cieleckim. A Wanda następnego dnia musi coś załatwić na uczelni. I całe szczęście! Tylko by przeszkadzała! Liny, haki, pętle, karabińczyki, wszystko trzeba przemyśleć i zaplanować, na czterech oczywiście. Wandzie trochę szkoda. To może pójdzie jeszcze dziś w stronę Koprowego Wierchu, zabiwakuje na Przełęczce pod Zadnim Mnichem, a rano, jak dojdą, zrobi im herbatkę, co? Może tak być? Nie ma wyjścia, zwłaszcza że zadurzony w Wandzie Cielecki z ochotą oferuje jej swoje towarzystwo.

Poranna herbatka niezbyt się uda. Obudzona Wanda wprawdzie zaczyna ją gotować, ale po chwili palnik gaśnie; no masz, gdzieś w śniegu przepadł jej pojemnik z paliwem! „Gdzie moja benzynka, gdzie moja benzynka?” – powtarza. Benzynka gotuje się w garnku zamiast herbaty, ale to nieszczęśni taternicy jeszcze jakoś znoszą. Pospiesznie żegnają się z Wandą, a tu klops! „Wanda oświadcza, że jednak postanowiła pójść z nami na wspinaczkę” – pisze Bogdan Jankowski. Cały plan i misterny dobór sprzętu na cztery osoby biorą w łeb. Chwytając się ostatniej nadziei, Jankowski mówi, że niestety, nie mają dodatkowej, a niezbędnej w tej sytuacji liny. Na co Wanda: „Ale ja mam”, i wyciąga linę ukrytą pod kurtką. „Drogi zrobiliśmy, choć nie było to proste”.

Herbatki nie wypili, Wandzie nie udało się też poprowadzić żadnego wyciągu, nie pozwoliła jej na to nieodzowna podczas debiutu odrobina stresu, ale kolejny krok na wspinaczkowej drodze został zrobiony.

Błaszkiwicz robi w Tatrach sporo ambitnych przejść, nierzadko w zespołach kobiecych, nawet o pięciostopniowej trudności w skali tatrzańskiej. W miarę szybko obiera sobie za cel drogi bardzo trudne, wręcz legendarne, jak te na południowej ścianie Zamarłej Turni czy direttissi-

ma północnej ściany Kieżmarskiego Szczytu. W 1964 roku zmierzy się z wariantem R na Mnichu, który w tym okresie jest wyznacznikiem klasy wspinaczy. Jest już zauważana, wzbudza zainteresowanie. Wypatrzy ją świetny alpinista Jerzy Krajski, który właśnie szukał partnera: kogoś młodego, ambitnego, z inicjatywą. Wprawdzie poznali się dopiero dzień przed wspinaczką, ale wybór Krajskiego przypadkiem nie jest. W środowisku wszyscy wiedzą wszystko albo prawie wszystko. Krajski się nie pomylił, a dla Wandy zrobienie wariantu R było niczym chrzest bojowy.

Ładny lipcowy dzień 1969 roku. Błaszkiwicz wraz z przyszłym mężem Wojciechem Rutkiewiczem i Jackiem Kazimierzem Rusieckim robi pierwsze polskie przejście direttissimy Wielkiej Granackiej Baszty, a w lutym 1972 roku – również pierwsze, ale zimowe wejście z Andrzejem Wiluszem na Baranie Rogi, ósmy szczyt na liście Wielkiej Korony Tatr. Ale co ważniejsze, wrocławianka odkrywa i wydobywa z siebie tak przydatną w przyszłości umiejętność uruchamiania rezerw sił, wynikającą z dobrego ogólnego przygotowania sportowego. Zimą robi dość długie tatrzańskie drogi o średniej skali trudności: Niżne Rysy czy Cubrynę, choć szybko okazuje się, że zimowe doświadczenia z Kotłów Śnieżnych, z których była tak dumna, w Tatrach nie zawsze wystarczają.

Komin Węgrzynowicza to jedna z najtrudniejszych zimowych dróg tatrzańskich. Wybrały się na nią we trzy: Wanda i jej dwie koleżanki, w tym przyszła himalajska partnerka Ewa Panejko-Pankiewicz, zwana przez wszystkich Maleństwem. Żadna kobieta tego komina jeszcze nie zrobiła. „Wszyscy chłopcy nas oglądali z naprzeciwka, chodzili i gadali” – śmieje się Ewa Panejko. „Alek Lwow też podglądał, jak się wspinamy, a potem poszedł do chłopaków i powiedział: dziewczyny ciągną wory. Oczywiście zawsze musieli nam dociąć, ciągle było coś nie tak”¹⁴.

Ale bywało gorzej.

Zsuwała się błyskawicznie. Ponadstumetrowe urwisko zionęło głębią jakieś trzydzieści metrów poniżej grani, którą schodzili. Niewinna „dwójka” w lecie, w sześciostopniowej skali trudności, w zimie okazała się zdradliwa. Elżbieta Miszczak, sąsiadka Wandy z Wrocławia i jej partnerka, musiała być już bardzo zmęczona: drogą, zadymką, wiatrem wciśkającym drobiny śniegu w każdy zakamarek kurtki. Rak zaczępił o rak i Miszczak poleciała. Słyszała przerażone „Hamuj!”. Zsuwała się na brzuchu po stoku, rozpaczliwie waląc przed sobą czekanem. Znaleźć jakieś za-

czepienie, jakiś miękki płat śniegu, a nie kamień, lód. Coś... cokolwiek... Od urwiska dzieliło ją ledwie kilka metrów, gdy czekając stabilnie utkwiał w śniegu.

Wanda nie mogłaby zrobić nic. Nie związały się liną. Teren był względnie łatwy, choć obie nie miały wielkiego doświadczenia zimą w Tatrach. W trudnych warunkach pogodowych w górach niewiele można zrobić za kogoś.

Błaszkiwicz nie zaniedbuje spraw formalnych. Jest bardzo sumienna. Zostaje członkiem Wrocławskiego Klubu Wysokogórskiego. Znowu też zasiada w „szklonej ławie”, tym razem na kursach Studium Trenerów II klasy Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie. Pierwsza sesja odbywa się w maju 1973 roku, a rozdanie dyplomów – w kwietniu 1977 roku; uczestnikami drugiego turnusu są między innymi Wanda Rutkiewicz, Jan Wolf i Andrzej Zawada.

To w Tatrach Wanda po raz pierwszy styka się ze śmiercią z gór. Ginie Krystyna Lipczyńska. Miały wspólne plany: wspinaczki w Skałkach, Tatrach, może i Alpach. Lipczyńska zginęła ze swym partnerem w zerwach Galerii Gankowej. Pogoda się załamała, zmarli z wyziębienia w potwornej ulewie. To Krystyna, wówczas znakomita i uznana taterniczka, napisała do Wandy. Widziała ją w akcji i proponuje wspólne zrobienie kilku tatrzańskich ścian o najwyższym stopniu trudności. Dla Błaszkiwicz takie zaproszenie to najwyższy dowód uznania. Ależ oczywiście! Umawiają się na wspólny trening. Tylko wcześniej, latem, Wanda pojedzie do ówczesnego ZSRR. Podciągnie się, poćwiczy. Kiedy wraca do Polski, Krystyny już nie ma.

Tę śmierć przeżyje bardzo mocno, ale o porzuceniu wspinaczki nawet nie pomyśli. Od pierwszej chwili góry były dla niej domem, a domu się nie porzuca. Do domu się ucieka od problemów, od ludzi. Nawet w ostatni dzień roku!

W sylwestrowy wieczór schronisko w Morskim Oku oazą spokoju raczej nigdy nie było. Dla Wandy jest za głośno, za gwaro. Gdzie uciec? Proste! W góry! Pod Rysy! Przecież można wykopać jamę w śniegu, procentom w butelce nic się nie stanie. Elżbieta Miszczak-Piekarczyk nie protestuje, nawet gdy na przyczepkę wprasa się do nich jeden z zagrażających wielbicieli Wandy. Jama wykopana, a w ciemnościach, z dala od strzelających szampanów, niesie się po górach głos Elżbiety, wyśpiewującej pieśń za pieśnią: górska czy kolęda, polska czy słowacka, wszyst-



W drodze
na Kazałnicę, 1972.

ko jedno. Zimno nie jest, tylko coraz bardziej mokro. Za mokro. Chyba przyjdzie jednak wrócić do Morskiego Oka. Wracają. Ale w świat idzie wieść o pewnym Krzysiu, który na sylwkę zabrał sobie w góry dwie dziewczyny.

Kilkanaście lat później, już jako gwiazda himalaizmu, Wanda znowu pojawi się w Tatrach, ale Krzysia z nią nie będzie. Przyjedzie ze Stéphane'em Schaffterem, swoim życiowym i górskim partnerem. Szwajcar będzie zachwycony. Nic dziwnego. Tatry nie dają o sobie zapomnieć, są jak kosówka.

Poskręcana i czepliwa. Niewymagająca co do podłoża, gęsta. Niby się płóży, ale tak naprawdę sięga wysoko. Chwyta i osacza przechodzącego, przytrzymuje za plecak, wczepia się w ubranie. Choć się przerzedza, do ostatniej chwili towarzyszy taternikowi do wejścia w ścianę. Wandzie też.

Kosówka to też zapach. Specyficzny. Niepowtarzalny. Nie do zapomnienia. Zapach Tatr.

Jedna z najsłynniejszych himalaistek świata. Pierwsza Polka i Europejka na Evereście, pierwsza kobieta, która zdobyła K2. Wanda Rutkiewicz.

Budziła skrajne emocje: uwielbienie i nienawiść, podziw i niechęć, zazdrość i troskę, fascynację i rozczarowanie. Uparta, ambitna i ekstremalnie wymagająca wobec siebie i innych. Szła konsekwentnie przez życie, które wypełniały na przemian euforia i tragedie, sukcesy i porażki, sława i pomówienia. Za swoją obsesyjną miłość do gór zapłaciła cenę najwyższą: samotnością wśród ludzi za życia i pozostaniem w ukochanych Himalajach na zawsze. W jej życiu blask wtapiał się w mrok, a z mroku zawsze wyłaniał się kolejny szczyt. Jeszcze jeden.

Elżbieta Sieradzińska wykonała tytaniczną pracę: przeprowadziła dziesiątki rozmów z alpinistami, sięgnęła do wielu źródeł – także tych nieznanych, jak zachowane fragmenty niewydanych wspomnień matki himalaistki, Marii Błaszkiwicz. Przytacza także niepublikowane dotąd fragmenty relacji uczestników holenderskiej wyprawy, którzy wsparli Wandę w tragicznych dla niej wydarzeniach na Broad Peak w 1991 roku. Wydarzeniach, które być może zaważyły na kondycji psychicznej Wandy Rutkiewicz i na podejmowanych przez nią decyzjach w ostatnich latach życia.

MARGINESY.COM.PL



9 788365 973184

cena 49,90 zł

patronat medialny



MAGAZYN
TURYSTYKI
GÓRSKIEJ

wspinanie.pl
serwis wspinaczkowy

GÓRY GÓRSKI
MAGAZYN
SPORTOWY
SPORTOWY.PL



RATOWNICTWO
pomoc ratownicza górskich
GÓRSKIE

Sportowa
Książka Roku

w sprzedaży także

